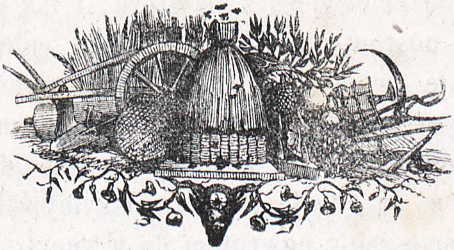
Tom I. Nr. 17.

11. Grudnia 1859.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Kazimierz Mnich.

(Dokończenie.)

Jacyś to goście zawitali do Rzymu?... Ich szaty mocno przypruszone białym kurzem, toż samo i obówie, a twarze mają ogorzałe od słońca i wiatru — to znać daleką odbywali podróż. Spieszą oni przez ulice sławnego miasta, nie zwracając zgoła na nic uwagę, choć tam było siła ciekawego do widzenia, zwłaszcza dla cudzoziemców, na jakich patrzyli. Pilnoż bo im pilno, i niedziwota! tać bo to nasi posłowie, co oto spieszą z prośbą do Papieża, aby im uwolnił królewicza z klasztoru.

Skoro przybyli do pysznego pałacu, kędy zamieszkał Papież, uczuli niejaką trwogę w sercu: — Anuż, myślą sobie, i tutaj nam się nie powiedzie?... a to już nasza ostatnia ucieczka! ha, niech się dzieje wola Boża!! — Wprowadzono ich do jednej wielkiej izby na posłuchanie. Niebawem obaczyli Ojca świętego — twarz Jego łagodna dodała im ducha... więc naprzód w pokorze pochylili czoła przed głową kościoła, a potem śmiało wystąpili z prośbą swoją. Dziwnie łaskawie wysłuchał ich Pa-

pież, i ulitował się nad Polską, która w Kazimierzu widziała jedyne swoje zbawienie. Jako więc mocen był rozwiązać śluby kościelne i uwolnić królewicza z klasztoru, i tak uczynił właśnie, a to na prośbę posłów, którzy w imieniu całego narodu prosili. I taką wolę swoją kazał natychmiast wypisać na papierze i doręczyć naszym posłom z błogosławieństwem na drogę; za co znowu oni ofiarowali na kościoły bogate dary w złocie i w śrebrze. Potem na chwilę już nie zatrzymywali się w miejscu, jeno co tchu pospieszali z powrotem do Francyi i do kluniackiego klasztoru.

Tymczasem w klasztorze ani się komu śniło, żeby po takiej odprawie, jaką już raz dostali posłowie polscy, tychże samych jeszcze kiedyś zobaczyli u siebie. Jakież było ich zdumienie, gdy razu jednego widzą znowu onych gości z dalekiego kraju, przybywających śmiało do klasztoru. I co jeszcze: zdrowo, raźno, wesoło, z uśmiechniętą twarzą byli wszyscy, ani podobni do siebie od ostatniego czasu, kiedy ich przyjmowano w gościnę. — Zkąd znowu? pytają mnichy, tak im się to bardzo dziwnem wydawało. Dopiero zrozumieli rzecz całą, skoro posłowie wręczyli rozkaz Ojca świętego przełożonemu klasztora, dopominając się teraz na prawdę o królewicza Kazimierza, aby go puszczono na wolność. Przeciwko takiemu rozkazowi nikt nie śmiał ani pisnąć. Tedy przywołano Kazimierza i opowiedziano mu, jako już jest wolnym od ślubów kościelnych, i że teraz może już sobie robić, co mu się żywnie podoba. Zasię posłowie nasi rzucili mu się plackiem do nóg, wywołając go *królem i panem Polski.* Jeszcze po raz ostatni poszedł Kazimierz, ustrojony jako mnich, z zakonną bracią do kościoła na modlitwy. Potem już złożył swoją ubożuchną sukienkę, a natomiast przywdział bogatą rycerskę zbroję — i żegnał się potem z mnichami, i każdego po kolei uściskał jak brata, polecając się ich wdzięcznej pamięci w modlitwie — a wszyscy mocno po nim żałowali i krzyżem świętym błogosławili go na drogę.

Zmierzając ku Polsce, chciał jeszcze Kazimierz królowę matkę odwiedzić na jej zamku, i obrał sobie drogę tamtędy. Oj byłoż tam dopiero uciechy co nie miara, kiedyć się pojawił na zamku, a Ryxa poznała w nim syna swego. Ale z tego była

mocno niekontenta, że jej syn wybierał się na polowanie do Polski.

— Niechże cię pan Bóg broni! prawi królowa, tuląc jedynaka pieszczotliwie do siebie — abyś miał jechać do kraju, który bardziej patrzy na pustynię jak na jakie królestwo. I cóż ci potem? — Oj, nie masz tam rozkoszy dla króla w tym kraju! bo wiesz przecie jak z Polską wszystkie pozadzierały narody — to widząc ją teraz słabą, temci bardziej na nią godzą, aby całą między siebie rozszarpać. Dajże więc sobie spokój z tem królestwem, mój jedynaku! a pozostań przy mnie, panując na matczynym majątku. Bo inaczej to ja bym jednej chwili spokojnej nie miała, myśląc że już tam ciebie gdzieś na wojnie zabili, albo zabrali do srogiej niewoli.

Ale Kazimierz nie dał się ująć żadnej pokusie: — Ja, syn prawy króla Mieczysława — powiada — toć słuszna, abym się za ojcowską krzywdę pomścił na wrogach. A iżem się rodził na polskiej ziemi, przeto mam się do niej jako syn do swojej matki — więc kochać ją, bronić co sił a choćby i umrzeć za nią, to moja synowska powinność. Nareszcie zakończył: — Matko! ty co tyle złego narobiłaś w Polsce, dozwól przynajmniej synowi, by się stał dla niej wdzięczniejszym.

To wypowiedziawszy, wstał i zaraz pożegnał królowę. A matka gorzko płakała za synem; i długo jeszcze z okna pozierała na drogę, kędy się puścił Kazimierz dalej ku polskiej granicy.

Tymczasem już w Polsce rozeszła się była pogłoska, że król przybywa do kraju i że już jest niedaleko. Wiadomość ta sprawiła wielką radość w narodzie. Ze wszystkich stron gromadziły się tłumy wdzięcznego ludu na granicy. Skoro się tam pojawił Kazimierz, powitano go serdecznie nie jako króla, ale raczej jako miłego ojca.

Pierwszem staraniem Kazimierza, gdy stanął na polskiej ziemi, było: powołać rycerstwo jakie się dało na prędce zgromadzić. Sam też dosiadł rączego konia, i dalejże gnać tędy i owędy za wrogiem, który się po całym kraju rozsypał na rabunek. A było tam czeskich i pomorskich rabusiów i innego tałałajstwa bez liku, iście gromada głodnych wilków, wietrzą-

cych zimową porą za łupem. Ale Kazimierz jak się raz szczerze do nich zabrał, tak ci niebawem wykurzył ich na piękne z kraju — i był już spokój z tej strony. Teraz trza było jakiś ład zaprowadzić w rządzie, bo gdzie przez tak długi czas nie było gospodarza w domu, tam i nie dziwota, żeć się wszystko pomieszało i poszło na bezład. Więc poustanawiał sądy i wszelkie urzęda na powrót, które miały czuwać nad sprawiedliwością i porządkiem w kraju. Tak powoli Polska pod dobrym królem przychodziła do siebie — podźwignęły się miasta, zaludniły pustką stojące wsie, i znowu ochoczo imał się kmieć roboczy do swojej roli, bo już był wolny od napaści.

Już też prawie całe dziedzictwo ojcowskie miał Kazimierz w swoim ręku — jeszcze tylko brakowało Mazowsza, co to był także kraj polski. Tam stary Masław, niegdyś podczasy króla Mieczysława, później, gdy tenże umarł, z własnego uroszczenia chorąży i rządca Mazowiecki, a dzisiaj jużci tak zhardział, że ani mu gadać o królu Kazimierzu, bo powiada, jako on sam jest królem na swojem Mazowszu, i drugiego króla znać nie chce. Niedosyć na tem — jeszcze na dobitek złego wyparł się prawdziwego Boga, i zaprowadził brzydkie pogaństwo w onym kraju. Słusznie wypadało Kazimierzowi ukarać zuchwalca i zatwardziałego grzesznika — ale że Masław miał dużo wojska własnego i nadto jeszcze inne pogańskie narody trzymały jego stronę, więc niebezpieczno było zaczepiać go z lada jakiemi siłami. Musiał król czekać lepszych czasów, i aż sobie więcej wojska nagromadzi.

Dopiero po latach kilku, gdy pojął bogatą księżniczkę ruską *Dobrogniewę* czyli *Marję* za żonę, i przez to ożenienie zapewnił sobie pomoc wielkiego księcia Kijowskiego *Jarosława*, przystąpił Kazimierz do wojny z hardym choć dobrze już wiekowym Masławem. Sam wielki książę przyprowadził Polakom pomoc. Po przeciwnej zaś stronie stanęli pospołu z Mazurami: Pomorzanie, Prusacy i Litwa. W wilię samej bitwy król nasz we śnie usłyszał głos: „Nie bój się, sprawiedliwość przy tobie, pobijesz pogany.“ — Równo z dniem zapaliła się krwawa i szeroka walka. Nasi górą! wnet rozgromili nieprzyjciela i napędzili go na cztery wiatry — sam Masław zginął, a Kazimierz prawie cudem ocalał od śmierci, tak wszędzie był na przedzie i tak bardzo narażał

życie swoje za świętą wiarę i za dobro kraju. — Po tej bitwie wróciło Mazowsze do Polski, która teraz pod panowaniem dzielnego króla odżyła na nowo, i stała się państwem tak potężnem, jakiem była za pierwszych lat królowania Mieczysława II.

Na tem kończymy historię o Kazimierzu Mnichu, którego też po wszelakiej sprawiedliwości nazwano: „*Odnowicielem Polski.*"

Pacholę na grzybach.

Coś mi się w lesie migło gąszczem niby,
Odwiodłem kurek — patrzę zaczajony;
Aż tu pachołek, co wyszedł na grzyby,
Stoi przede mną bardzo zatrwożony.
— Nie bój się dziecię! co tu robisz w lesie?
„Zbieram co znajdę!" chłopak mi powiada.
„Czasami jaja, co je ptaszek niesie,
Czasami także grzyb się dobry nada.
„Przednowek ciężki — to i to pomoże.
Matuś tam z dziećmi czeka na mię doma,
A jak paciorek zmówię sobie w borze,
Nigdy nie wrócę z próżnemi rękoma."
— Miła chłopczyna! — znał kędy po lesie
Ptaki się gnieżdżą, znał jaja po krasie;
Znał, który ptaszek jakie jaja niesie,
Jak je podbierać, i o którym czasie?
Najbardziej sobie kacze jaja chwalił:
Bo gniazdo w gniazdo, jak kępa przy kępie,
Ale się na to tylko trochę żalił,
Że trudny przystęp w bagnistym ostępie.
Z kolei przyszło na jaja słowicze —
Rzekł mi chłopczyna: „Ja jemu nie szkodzę,
Ja mu tak dobrze, jak skowronkom życzę,
Bo i tóżby śpiewał, gdy po lesie chodzę?"
Zdziwiony pytam: To i skowronkowi
Gniazd nie podbierasz?
„A, brońże mię Boże!"
Ze trwogą chłopak mi na to odpowie —
„Taką się krzywdą człowiek nie wspomoże!

„Skowronek, panie! to ptaszyna wczesna;
I Matka Boska — do tego Bolesna —
Wszystkie skowronki w swej opiece trzyma;
Więc na skowronka żadnej trwogi nie ma!“
— Jakto? — pytałem. —
„Alboż wy nie wiecie,
Że to Zbawiciel chodził po tym świecie?
Gdyby dziś człowiek choć w poprzek tą drogą
Przeszedł, gdzie Chystus stanął niegdyś nogą,
Byłby już zbawion! lecz w ówczas ludziska
Były nie dobre — bo podłe żydziska!
Więc chociaż Piłat umył sobie ręce,
Chrystus na krzyżu oddał ducha w męce!
„Pod krzyżem stała Matka u stóp Syna,
I ból ją wielki na duszy ucisnął,
I zaśpiewała w niebiesiech ptaszyna:
Spojrzy się Marja — skowronek zawisnął!
„I tak nad Panem użalił się wiernie,
Że chciał mu odjąć, choćby jedno ciernie
Więc póty dzióbkiem i dzióbał i dzióbał,
Aż cierń z korony najświętszej odskubał.
„Błogosławiła Marja skowronkowi,
Podniosłszy w niebo te oczy żałosne,
I rzekła w łasce: będziesz człowiekowi
I Bogu śpiewał najpierwszy na wiosnę!
„A jako rzekła mu Matka Bolesna,
Tak się też iści — bo ptaszyna wczesna
Nim śniegi giną, już w niebo się wznosi,
I wielką chwałę Matki Bożej głosi.
„Więc któżby gniazdo skowronkowi psował?
Kiedy cierń święty jego gniazda strzeże?
Będziem cię chować, jako Bóg nas chował,
Tak matuś mówią — i ja temu wierzę.“
To rzekłszy nisko i wesoło skłonił,
I ku domowi z koszem jaj pogonił. (*W. P.*)

LEW I CZŁOWIEK.

Gadka.

Posłuchajcie-no moi ludzie, co wam też ze szczerej chęci opowiem o zwierzu, które to choć nie w naszych sadybach się wywodzi — ale o którem przecie nie zawadzi coś wiedzieć. —

Przyłóżcie więc ucha, a nie strachajcie się bardzo, gdy wam zacznę prawić o takiej okrutnej bestyi, co się lwem nazywa. Boć doprawdy straszne to zwierze ten lwisko — a nawet Jaśko, co wrócił teraz z Italji i tyle dziwa tam widział, a przed żadnem się nie uląkł — zadzwoniłby zębami, gdyby stanął przed nim lwisko, niby wół wielki, a z grzywą poniżej kolan, i z ślipakami, co by dwa czerwone węgle spoglądają ze łba. A gdybyć do tego jeszcze ryknął — niby dziesięciu buhai i pokazał białe, na pięstuk duże i niby żydowskie igiełki ostre zębiska, to nietylko Jaśko wojak — ale i my wszyscy, moi mili, wzielibyśmy nogi za pas i nie zatrzymałby nas choć nie wiedzieć jakim specyałem. Ale choć ta do tej straszliwej postaci łączy jeszcze ogromną siłę — tak że z rocznym cielakiem w mordzie najwyższe przeskakuje płoty, a jednem uderzeniem łapy najtęższego konia ubija, przecie ma we zwyczaju szanować człowieka, stworzonego na podobieństwo pana Boga.

Dziwno się to zdaje — nieprawdaż, że on co największego zwierza się nie ulęknie (boć i dla tego królem zwierząt nazwany), boi się ludzi, i chyba głodem ostatecznie przymuszony, rzuca się na nich — ale i to tylko wtenczas, gdy kto przed nim stchórzy i w nogach szuka ratunku. — Otóż o tem to uszanowaniu lwa dla człowieka taka gadka chodzi między ludźmi:

Pewnego razu lwica jedna powiła troje młodych — i jako czuła i kochająca macierz chodowała ten skarb swój jak najstaranniej. W jakiś czas potem, gdy młode lwiątka podrosły i siły nabrały, zwołała je matka i tak się odezwała: „Dziatki moje, dotychczas byłyście pod mojem staraniem, ale pora już ku temu, byście zaczęły same o sobie pamiętać. Idźcie więc w świat — tylko nie zapominajcie, że choć jesteście królami zwierząt, toć na tej ziemi jest jeszcze stworzenie, które panuje nad wszystkiem. Tem stworzeniem jest człowiek — a z nim nie radzę wam się spotykać!“

Skończyła lwica — lecz nie wszystkie dzieci zarówno uwierzyły w słowa macierzy. Najstarsze lwiątko, najsilniejsze z pomiędzy braci a harde i krnąbrne z natury, coś niebardzo wzięło te słowa matki do serca — a nawet rada jej wzbudziła w nim niepohamowaną ciekawość: co to za jeden człowiek, przed

którym lew nawet ustąpić musi. Aby więc poznać człowieka i wywiedzieć się czy on zaprawdę taki straszny, wybrało się to najstarsze lwiątko w drogę.

Idzie, a idzie coraz dalej — gdy w tem na łące pod lasem ujrzy pasącego się byka.

— „Hej, bratku!“ ryknie doń, „a waszeć nie człowiek?“

Ze strachu wół ledwie zmógł się na odpowiedź, że on nie człowiek, i dodał:

— „Oj, ten człowiek to kat straszliwy, widzisz jakim tłusty i gładki że mucha na mnie nie dosiedzi, a gdybym popadł w jego ręce — to w duch byłyby ze mnie tylko skóra i kości.“

I szedł ów lew dalej, by znaleść tę straszną poczwarę co ją człowiekiem nazywają — kiedy oto napotkał jakąś szkapę — ale, miły mój Boże, tak chudą, że kości by w niej policzył. A lew ją zapyta:

— „No synku — to tyś może człowiek?“

Koń aż się zatrząsł na tę nazwę, bo myślał, że już z człowiekiem i batog śmigać zacznie po jego bokach; lecz nareszcie opamiętał się i rzeknie:

— „A gdzie ja tam człowiek, ale strzeż się, kochanku, byś nie popadł w jego szpony. Patrz jakim teraz nędzny, a dopiero miesiąc służę człowiekowi.“

Na tę mówkę konia straszno się jakoś wydało lwu, szukać jeszcze taką piekielną poczwarę — tego człowieka, co zmoże najtęższe zwierze; ale ciekawość, co to nie darmo pierwszym stopniem do piekła, i tym razem przemogła i poszedł dalej — a po drodze porwawszy jagniątko, wszedł sobie do lasu, aby je tam spokojnie pożreć. Gdy w tem słyszy jakiś łoskot i hałas: „Ha,“ pomyślał sobie, „toć tam już pewno człowiek, kiedy takiego łomotu narobił.“

A więc szuka i nadsłuchuje, z kąd odgłos idzie — nareszcie patrzy, aż tu na wysokiej jodle siedzi chłop z siekierą i rąbie a rąbie, a gałęzie jedna po drugiej jak lecą tak lecą. Już się ich chłop do syta narąbał, więc zsunął się na dół, i właśnie co miał zbierać gałęzie i nieść je do domu, gdy jak mu z niespodziana huknie lew po za uchem: „A tyś to człowiek?“ aż mrowie przeszło mu po za skórę, i pociemniało w oczach. Chłopisko, co choć frant do tego, by furkę gałęzia wywieść

ukradkiem z pańskiego lasu, przecie nie spodział się spotkać z takowym pobereżnikiem. Lecz po chwilce widząc, że nie taki straszny diabeł jak go malują, nabrał odwagi i powie:

— „A dyć ja nim, a cóż chcesz asan?“

— „A no kiedyś ty człowiek, to się spróbujemy kto z nas mocniejszy!“ odeprze lwisko i ziewnął białemi kłami, że chłopu dusza już na ramieniu, bo chociaż w karczmie przy bójce bywał zwykle na wierzchu, toć mu się ckliwo zrobiło koło serca na widok takiego przeciwnika.

Ale, jak to powiadają, muru głową nie przebije; lew stoi za nim, i łapy już wyciągnął by uściskać swego druha, a tu ani uciec, ani się gdzie podzieć, więc chłop się krzyżem przeżegnał i rzecze:

— „Kiedyś ty taki ochotny poborykać się ze mną — to zrób wszystko to, co ja potrafię — a na początek wyrwij tego dąbczaka ze ziemi!“

Jeszcze nie skończył swej mowy, kiedy lew rzucił się do dęba, który już sporo podrósł od ziemi, i jak zacznie szarpać i targać i drapać, aż się zasapnął biedaczysko, a dąb jak stał tak stoi.

— „A spróbuj no ty teraz!“ ryknie lew do chłopa.

Jeszczeby jednej Zdrowaśki nie zmówił, jak drzewo leżało już na ziemi. Ale niewiele chłopu to pomogło, bo lew znowu się zabiera do niego i radby go już zdławił w swoich łapkach.

Przecie chłop wyprosił się na ten raz, i świeżą zadał robotę lwu: aby zrębanego dęba na dwoje rozłamał; lecz i tym razem lwisko choć sobie do krwi poobłamywał pazury, nie potrafił zrobić tego, czego chłop duchem dokazał.

Ale na tem jeszcze nie koniec, lew trzeciej jeszcze próby się domaga, a chłop mu na to odeprze:

— „Ot wieczór, rozkól-no to polano na dwoje!“

Ale lew, co nie w ciemie bity, zmiarkował, że to trudniejsza robota, niż poprzedzające, więc każe chłopu samemu zaczynać, bo myślał, że w tym się pewnie poszkapi. I zgadnął nawet po trosze, bo ledwie chłop nadłupał co nieco dąbczaka i spory klin zabił, wziął wołać płaczliwym głosem:

— „Ej kumoszku, ej miły, pomiłujcież się nademną, a pomóżcież odrobinkę, to już to przeklęte drzewo rozszczepię.“

Lew rad, że przecie raz chłop potrzebuje jego pomocy, ochoczo wepchnął swoje łapy w szparę; gdy w tem chłop wyrzucił klin, a drzewo silnie ujęło lwa, że aż biedak po ziemi wił się z bolu. A tu jeszcze chłop zdrajca zacznie go okładać obuchem, to już myślał, że mu przyszło na marny koniec.

Ale chłop choć krzyczał a krzyczał: „A tyś bestyjo chciał być mędrszym od człowieka — a na ci zato — a na!“ toć mu nakoniec żal się zrobiło zabijać bezbronne zwierze, więc tęgo zbitego zostawił jego losowi i poszedł swoją drogą.

Lwisko z bolu i ze wstydu, że tak się dał oszukać, ryczał w niebogłosy, aż przybiegli macierz z braciszkami i usłyszawszy historję, uwolnili go z tej łapki.

Nauka nie poszła w las. Lew od tego czasu, choć panował nad wszystkiemi zwierzętami, omijał na pół mili człowieka.

Aże teraz długie jesienne wieczory, a wasze Baśki i Maryśki na wieczornicach przędą, a jak im nikt nie przyśpiewuje lub bajki jakiej nie opowiada, to zaraz przy kądzieli drzemią; więc aby onym nie lepiły się oczęta jak po maku, a wy znowu chłopcy byście przecie, jak gapie, co trzech zliczyć nie umieją, nie stali przy waszych dziewuchach, toć wam od nudoty opowiedział tę gadkę —

Organista z Budyłowa.

Dnia 20 Listopada 1859.

Piękny przykład
o miłosiernym kowalu z Wielunia.

W tamtym kraju Polski, co to go Moskale zabrali, leży miasteczko *Wieluń.* Tam przed laty kilkunastu żył sobie kowal, człek niebogaty, ale uczciwy, trzeźwy, gospodarny i szczerze pracujący na kawałek chleba. Jakoś razu jednego wydarzył się

był w mieście pożar, i to właśnie u jednego z bliskich sąsiadów kowala. Spaliło się domostwo, obora, stodółka — słowem, cały majątek sąsiada poszedł z dymem; została mu jeno liczna rodzina na karku, którą aże biedaka rozpacz brała, czem to będzie wyżywić. I była bieda, wielka bieda u sąsiada!...

A u kowala, od czasu tego pożaru, zauważali ludzie coś dziwnego: juźci on dawnym zwyczajem nie zamyka kuźni zaraz z wieczora, ale pracuje do późna w nocy, i znowu dobrze jeszcze przed świtem zrywa się a pracuje zawzięcie. Wprawdzie i dawniej nie lubiał on popróżnować — ale dość mu było pracy na dzień; teraz zasie i w nocy spokoju sobie nie daje. I zkądże to? Czy jaka pilna robota go przyparła, albo co?... Otóż to właśnie był sęk, nad którym sobie ciekawi ludziska nadaremnie głowy łamali.

W tym samym czasie bawił w Wieluniu niejaki pan Bartochowski, obywatel zamożny z okolicy. Ten raz przechodząc późną godziną wedle kuźni naszego kowala, i słysząc go przy robocie, chciał się też wywiedzieć, dla czego do tak późna pracuje i co to za robota?... Poczciwy panisko myśli sobie: może mu dzień nie starczy do zarobku, przeto nocą nieborak nadrabia; więc poratować by się godziło kowala. Tak tedy wchodzi do kuźni i pyta go:

— Majsterku! jakaż to pilna robota was pędzi, że aż po nocy pracujecie?

— Nie dla siebie ja to robię, miły panie! odpowiedział kowal — ale dla mego sąsiada, którego oto nieszczęście spotkało, że całkiem pogorzał. Rodzina liczna, z zarobku trudno mu wszystkich wyżywić, a żebrać nie umie, bo do tego nienauczony i wstyd ma. A toć mi go mocno żal! więc myślę sobie: chrześcijańska to rzecz poratować bliźniego — ale ja sam, mój miły panie, nie zamożny — jak to powiadają: *Maciek zrobił*, *Maciek zjadł* — tak u mnie się dzieje. Dzień więc poświęcam dla mojej rodziny, pracując na ten kawałek chleba — a zasie od nocy urwę tych kilka godzin na poratowanie biednego sąsiada. Na szczęście, roboty nie brak w tej porze, a Bogu dziękować, ręce mam zdrowe — to i bajka że się tam parę godzin więcej poturbuję.

Słysząc to pan Bartochowski, zawoła: — Oto mi chrześcijańska dusza co się zowie!... ale pytam cię, uczciwy człeku! będzież twój sąsiad kiedy w stanie oddać ci tę sumę, którą mu dzisiaj na poratunek udzielasz, tak ciężko na nią pracując?...

— O panie, na to ja wcale nie rachuję! — prawi majster — byle się nieborak podźwignął z biedy, to już i dobrze. A może też przyjdzie taki czas, gdzie albo ja albo moi będą potrzebowali pomocy, to znowu on się ulituje i poda nam rękę.

Pan Bartochowski nic już na to nie odrzekł, nie chciał bowiem próżną gadaniną zabierać mu czasu. Uścisnął więc kowala przyjaźnie za rękę i odszedł precz. Ale nazajutrz zaraz ci poszedł na miasto, wywiedział się jeszcze lepiej o uczciwem życiu kowala, odłożył potem 800 złotych, co na nasze pieniądze wyniesie 200 reńskich w śrebrze, i dopiero wstąpił do kuźni, chcąc wynagrodzić kowala za jego dobre serce dla sąsiada.

— Za te pieniądze, prawi, nakupisz sobie majsterku żelaza dobrego i z pierwszej ręki, ile ci będzie potrzeba — coć taniej wypadnie, a niżeli kupując po trosze w lada jakim sklepie. Tym sposobem będziesz mógł porwać się na większe roboty, no, to i lepszy będzie zarobek i da Bóg, z czasem zaoszczędzisz sobie jaki grajcar na swoje stare lata.

— Tak mówił poczciwy panisko, wtykając kowalowi całą sumę do ręki. Lecz jakże się zdziwił, gdy kowal nie przyjął pieniędzy mówiąc:

— Dziękuję wam panie, za jego dobrą wolę — ale przyjąć nie mogę! bo ani ja taki potrzebny, by mię aż kto wspomagał łaskawym groszem, ani znowu taki stary i osłabły, iżby mię praca własnych rąk wyżywić nie mogła. Ale, dobry mój panie, jeśli już koniecznie ofiarowaliście te pieniądze komuś na podarunek, to macie ot, sąsiada mego, co go ogień nawidził — temu podarujcie waszą sumę, a wielką mu tem wyświadczycie łaskę. Ja zaś także wam za to wdzięcznym będę, bo nie potrzebując już więcej nocami nadrabiać dla poratowania mojego sąsiada, temci raźniej za dnia pracować będę na kawałek chleba.

Tak ci się też i stało: — pan Bartochowski wszystkie pieniądze, co miał dać kowalowi, ofiarował onemu sąsiadowi nieborakowi w podarunku. O mój Boże! co tam była za radość

z tego między biedakami! toć każdy z was zrozumie. Zaś o miłosiernym kowalu z Wielunia, opowiadał potem ten pan wszędzie pomiędzy ludźmi, stawiając go jako *piękny przykład* dla innych.

Waszemu zdrowiu na pożytek.

Dziwna rzecz, że też to nasi ludzie tak mało dbają o swoje zdrowie! A przecie cóż może być lepszego nad zdrowie? Zwłaszcza wam, co z pracy rąk żyjecie, kiedyć choroba dolega, to już i bieda zaziera do chaty. Leżałego grosza nie szukać między wami — z roku na rok, co ręka zarobi, gęba zjada; rzadko u którego coś nadto pozostanie w skrzyni albo w sąsieku. Więc kiedy z choroby omdleje ci ręka, twój dobrodziej jedyny, któż cię wtedy poratuje nieboraku? kto pole obrobi, bydłe nakarmi, chatę poszyje, abyć się za kołnierz nie lało? kto pójdzie na zarobek, by dzieciom i tobie samemu nie zabrakło na chlebie?... Powiada nasze przysłowie, *że jak matki rodzonej, tak i zdrowia swego nie kupisz za żadne pieniądze* — więc czego nawet za pieniądze nie kupisz, to już wielka rzecz! gdzież tedy rozum u człeka, który sobie taką rzecz za nic waży, i jakby czemś podłem pomiata nią, ta nie poszanuje?... Ale powiecie może: — kto zaś tak robi? chybaby oszalał, żeby miał sobie choroby życzyć! — No, to niby i prawda żeć tego sobie nikt nie życzy — ale znowu i nieprawda! bo są tacy i bardzo ich wielu między wami się znajdzie, co to samochcąc podają rękę chorobie i na śmierć się z dobrej woli wpisują, tak właśnie jako ten, co sobie nóż do gardła przykłada. Zapewne ciekawiście ich poznać? no, to się im przypatrzcie dobrze — a w końcu, ręczę, żeć sami przyznacie nam prawdę. I może z tego wyrośnie pożytek dla waszego zdrowia... co daj Boże!

Otóż pierwszy taki, który się swata z brzydką chorobą i często gęsto samej śmierci podaje się w ręce — jak *nieszczęsny pijanica.*

*) „Myślicie może, iż się tylko w rzece albo w jeziorze lub w stawie utopić można, a ja wam powiadam, że i w kwaterce nie jeden się utopił, i życie w niej utracił; bo chociaż od razu nie umarł, to upijając się ciągle umierał i ciągle mu życia i zdrowia ubywało. — Do was się pijaki odzywam i zapytuję, czyście na drugi dzień po przepiciu byli zdrowi i rzeźwi?... Przypomnijcie sobie jakeście się skarzyli, że was mdli i że wam głowa cięży na karku. Ani do roboty, ani nawet do jadła nie mieliście ochoty, ale was paliło wewnątrz a zdawało wam się, iżbyście się przespać radzi, chociaż gdy chcieliście spocząć, to i sen od was odbiegał. — Otóż zatopiliście się w kwaterce jakby w jakiem jeziorze, a jeśli tą razą jeszcze nie na śmierć, to zawsze na chorobę. — Lecz każda choroba jest zadatkiem na śmierć; więc kiedyś się upił, toś już śmierć sobie u żyda zatargował i dałeś mu na nią zadatek. Upiłeś się drugi, trzeci, a może setny raz, toś już życie twoje i zdrowie sprzedał a pewną i bliską śmierć zakupił.“

Drugiego macie przed sobą — a ten się nazywa: *żarłok.*

Powiadacie: „Coby to był za grzech jeść? kiedy przecież bez jadła nikt się nie obejdzie! A któż wam kiedy mówił, że jedzenie jest grzechem? Oj, nie jedzenie to skromne, przyzwoite, jakie przynależy spracowanemu ciału, jest grzechem — ale obżeranie się.. to co innego — to już grzech wielki!... Kiedy widzisz przed sobą pełny garnczek polewki albo barszczu ze sztuką i miskę ziemniaków, tobyś je chciał pierwej zjeść oczami zanim się do jadła zabierzesz. — Aż ci się dusza do jedzenia śmieje, a to nie dla tego abyś był tak głodnym, ale że więcej barszcz ze sztuką i ziemniaki z omastą lubisz, nad twe zdrowie i nad twoją duszę. Jesz więc łapczywie więcej niż żołądek zmieści. I rzeczywiście gdybyś w stodołę twoją tyle snopków pakował, ile w twój brzuch pokarmu, tobyś w niej ściany rozsadził, pomimo że są z drzewa na węgiel zbudowane; a jakże dopiero nie ma pęknąć brzuch twój co jest tylko z błony utworzony, jakeście to nieraz w bydlęciu widzieli. — Obżarstwo więc, jest jedzeniem nad miarę i potrzebę; jest to zakochanie

*) Z kalendarza p. Wielogłowskiego.

się w jadle; dogadzanie językowi i podniebieniu swemu ze szkodą i krzywdą żołądka, a więc i zdrowia. Bo żołądek w człowieku jest ów gospodarz, który musi dla całego ciała jakby dla swojej czeladzi ugotować żywność i rozdzielić co któremu przynależy, a surowizny żadnemu nie dawać. A jakże on żołądek ma ugotować i rozdzielić, kiedy aż kipi z niego tyle weń ładujecie i czasu mu do gotowania nie zostawiacie. Weźże który z was kwartowy garnek i wsyp do niego kwartę kaszy, a do tego wlej wody i gotuj przy ogniu, to zobaczysz że jak kasza rozpęcnieje, to i przez wierzch wyłazi, i garnek rozsadzi i niema z tego żadnego jadła, bo się nawet kasza nie ugotuje, ale przypali. — Otóż to samo robi się z żołądkiem. — Weźmy jaki przykład: Oto którejś niedzieli poszedł chłopak w pański groch. Siadł w bruździe aby go nikt nie widział, i mówił sam do siebie: „Ej, teraz się też dopiero najem grochu.“ I prawda że sobie nie żałował, bo łuskał a jadł do woli. — Ale cóż! zapomniał o tem że groch żrzały przyrasta i pęcnieje. Najadłszy się, poszedł do strumienia i napił się wody. Więc cóż się z nim stało? Oto przynieśli go chorego do chaty, a na trzeci dzień jużci go pochowali. A znowu owa Baśka co także umarła. Oto zakradła się wieczorem do sadu, i dalejże rwać a jeść zielone jabłka i gruszki! — Powróciła do domu a matka się jej pyta, zkąd tak późno wraca? i miała ją już ukarać mniemając, że poszła na muzykę. Ale ona wytłómaczyła się, że ją późno od roboty uwolnili we dworze, i że ekonom przy świecy wypłacał. — Matka uwierzyła, i dała jej na wieczerzę kwaśnego mleka z młodemi ziemniakami, co też zjadła, choć jej się nawet jeść nie chciało. — Na drugi dzień źle! dziewka stęka bo ją okropna trapiła biegunka, ale się nic nie przyznała, z czego ta choroba, tylko ciągle wodę piła, aż się przyplątała czerwonka i zapalenie kiszek i już po niej! Otóż ją zabiło obżarstwo! Albo znowu ów Józek złodziej (niech mu Bóg przebaczy) co to poszedł do sołtysa i wyłupiwszy ul, najadł się miodu z woszczynami: i ten także gnije w świętej ziemi! Więc moi mili, przypominając wam odwieczne prawidło: „Iż człowiek nie poto żyje, aby jadł,“ ostrzegam że nie na to też trzeba jeść aby sobie chorobę sprowadzać i umierać, ale aby wedle

miary i potrzeby ciało posilać i żyć na chwałę Boga. Otóż widzicie że obżartuch, łakomca, nienajadek, bywa samobójca, bo w garnku albo w misce śmierć połyka. — A tu dzisiaj, pożal się Boże, ledwo nie ledwo w każdej wsi znajdą się tacy, co tylko brzuchem żyją, a gęba u nich to jakby młyn który ciągle miele, iż nawet brzuch jadła wypytlować nie może. — Szczególniej zaś czeladź czy dworska czy wiejska, to chciałaby przez całe życie nic więcej nie robić jeno śniadać, obiadować i wieczerzać. O tem myśli, tego tylko pragnie i w tem ma zakochanie, dla tego też nigdy dosyć parobkowi! Daj mu na dwoje,... mało! Daj mu na troje,... to powiada, iżby się na czworo przydało! Daj mu kapusty z grochem, to woła o kaszę z mlekiem! — Daj mu kaszy, to wybredza że chce klusków! A jak mu kluska nie płynie w omaście, to narzeka iż jałowa, i rzuci łyżkę a dziękuje za służbę. — Oj, moi ludzie! tak się dzieje między wami, a codzień, wiadomo, ile to chorób i ile śmierci z obżarstwa pochodzi! Miejcie więc litość i nad waszą duszą i nad waszem ciałem, a markujcie się w jadle, szczególniej zaś strzeżcie się surowizny, z czego pochodzi zimnica, biegunka, cholera i wiele innych chorób które się znowu do nich przyplątają. — Dzieci zaś wasze strofujcie i do mierności wcześnie wprawiajcie, aby nie wyszły na obżartuchów jak drudzy.“

Na dzisiaj dosyć wam będzie onych dwóch poznać. W następnym numerze pokażemy ich więcej.

RÓŻNOŚCI.

Niezawsze uderzy, gdzie kto zmierzy. Ot i niedawno temu sprawdziło się to przysłowie w dziwny sposób na jednym zajączku. Wyszedł sobie myśliwy w pole na upatrzonego. Długo nie sprzyjało mu szczęście — chodził tędy i owędy, ani rusz przydybać szaraka. Aż tu nieopodal od lasu patrzy, z bruzdy na kilkanaście kroków przed nim wyrywa się zając. Hej, hej — w to mu graj! nasz myśliwy wymierzył od oka, strzelba wypaliła — i cóż myślicie... zabił zająca?... nie! toć chyba spudłował?... i to nic, bo ubił coś, jeno że nie tego, na którego polował. Zamiast szaraka leżał zabity wielki orzeł. Krążył on prawie wtedy po nad polem, kiedy się zając zerwał z bruzdy przed myśliwym. Zaraz ci go dopatrzył z wysokości, i chcąc sobie takoż smaczną upolować pieczeń, piorunem uderza na kurtę nieboraka. Ale przypadł właśnie na sam strzał, który go od razu na śmierć powalił. A zajączek tymczasem poszedł sobie szczęśliwie. Dwóch na niego polowało, a żaden nic nie skurał.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**